SOBOTA
Nr 104 1.IX.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

KRYPTONIM „HIMMLER”

W zachodzącym słońcu cienie stają się coraz dłuższe. Parno. W ten sierpniowy wieczór ręce pocą się na kolbach. Spod hełmów również ścieka pot.

– Verfluchte! – nie wytrzymuje któryś.

– Ruhe! – komenda oficera niczym brzytwa ucina przekleństwo. – Czysza! Mówycz tylko po polsku! – mimo wysiłku akcent dowódcy kaleczy polszczyznę. Kim jest? – nie wiedzą. Dwa dni temu zobaczyli go po raz pierwszy na odprawie. Nie znają również swoich stopni, ani imion. Akcja jest tajna, ściśle tajna!

– Uwaga – oficer od dłuższej chwili nie spuszcza wzroku z sekundnika. – Naprzód!

Skokami, przypadając do ziemi, ruszają jak na ćwiczeniach. Trzysta metrów, dwieście... W rdzawym świetle zachodu migoczą polskie orzełki i dystynkcje.

– Ogień! – Przy bramie jak dudnienie werbla rozlegają się strzały. Jeszcze skok przez dziedziniec i zaraz w korytarzu radiostacji głuchy huk granatu.

– Do studia! – ręka oficera pokazuje kierunek. Ten gest jest jednak niepotrzebny, rozumieją się bowiem bez słów.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Warszawa,
31 sierpnia 1979 r.

NACZELNIK ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

ROZKAZ SPECJALNY

Druhny i druhowie!
Zuchy, harcerze i instruktorzy!

Czterdzieści lat temu, w dniu 1 września, a w tradycyjnym dniu rozpoczęcia roku szkolnego, polskie dzieci nie poszły do szkoły. Tego dnia hitlerowskie Niemcy napadły na nasz kraj. Rozpoczęła się najokrutniejsza z wojen – II wojna światowa. Jest to rocznica, wobec której nie wolno przejść obojętnie.

1 września 1939 r. Początek dni dramatycznej i bohaterskiej obrony kraju, po której nastąpiła trwająca prawie sześć lat okupacja. Ani przez moment nie pogodzili się z nią Polacy. Do nierównej walki z najeźdźcą stanęli dorośli i dzieci. Już w pierwszych dniach wojny w obronie kraju wzięli udział harcerze. Pomagali w organizowaniu łączności, w akcji ratowniczej podczas bombardowań, podejmowali służbę sanitarną. Z bronią w ręku walczyli na Wieży Spadochronowej w Katowicach, w Bydgoszczy, Poznaniu, Gnieźnie, Gdyni, Lublinie, Zamościu, w Warszawie. Byli na Westerplatte i wszędzie tam, gdzie wzywała ich ojczyzna. Wasi rówieśnicy.

W czasie wojny i okupacji 2.200 tysięcy polskich dzieci zostało zabitych, zamordowanych, zgładzonych wyniszczającą ponad siły dziecka pracą. To dla uczczenia ich pamięci powstał pomnik szczególny – Centrum Zdrowia Dziecka.

Głębiej niż do czasów II wojny światowej sięga rodowód serdecznego umiłowania wolności i pokoju, jaki cechuje nasz naród, który każe nam walczyć o utrwalenie pokoju na całym świecie, w imię którego z polskiej inicjatywy ONZ uchwaliła Deklarację o Wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju. Ale czym jest wojna przypominają nam ludzie, którzy ją przeżyli. I groby tych, którzy polegli.

Druhny i druhowie!

W rocznicę bohaterskiej obrony Polski przed najazdem hitlerowskim – 1 września zaciągnijcie warty przy Pomnikach Pamięci Narodowej i przy grobach bohaterów, którzy zginęli w imię prawa do wolności i życia w pokoju, a nad którymi sprawujemy harcerską opiekę. Troska, jaką otoczycie te miejsca niech będzie dowodem Waszej, naszej wspólnej pamięci.

Czuwaj!

Jerzy Wojciechowski hm PL

- **Konkurs na najlepszą korespondencję trwa!**
- **Dramatyczny apel korespondentki w obronie parku!**

Irena Soroka z Gołębia, autorka listu pt. **„Historia jednego parku”**, zamieszczonego w 100 numerze „ŚM” otrzymuje w nagrodę kolekcję godeł państw. Mamy nadzieję, że apel Ireny znajdzie pozytywny odzew wśród bywalców parku.

(bs)

Pierwsza powojenna wielka inwestycja urbanistyczna w Warszawie, Trasa W-Z, zbudowana została w latach 1947–49 (wg projektu architektów: S. Jankowskiego, J. Knothe, J. Sigalina i Z. Stępińskiego). Trasa W-Z ma zatem już 30 lat, ale przejażdżka ruchomymi schodami nadal jest atrakcją. A w nocy trasa prezentuje się właśnie tak pięknie jak na zdjęciu.

Fot. archiwum

VI MIĘDZYNARODOWE ZAWODY DZIECIĘCE W SPORTACH TECHNICZNYCH zakończone!

Pomyślne wiatry – na to czekają przede wszystkim modelarze. Wiadomo jednak, że o udanym locie zadecyduje prawidłowa konstrukcja samolotu, dokładność i precyzja.

O tym jak przebiegały tegoroczne zawody przeczytacie na stronie 5.

Fot. Z. Bisanz

Polifoto

UWAGA!

Specjalny komunikat dla Czytelników zainteresowanych konkursem fotograficznym pt.

„MOJE WAKACJE”

Konkurs trwa do 10 września br. Przeznaczony jest dla wszystkich czytelników w wieku do 16 lat. Przy okazji przepraszamy za błąd, który wkradł się do komunikatu wydrukowanego w 93 numerze „ŚM”. „Chochlik drukarski” zmienił wiek uczestników! **Czekamy na zdjęcia z wakacji. Równocześnie prosimy o dołączenie filmów do zdjęć. Filmy zwrócimy.** Dla autorów najciekawszych zdjęć „Polifoto” ufundowało wysokie nagrody!

(bs)

Tylko jedna odpowiedź

Było piękne, błękitne, bezchmurne niebo, pogoda w sam raz na zabawę. Dzieciaki z całego podwórka, ze sporej kamienicy i przyległych do niej parterowych drewniaków, gdzie we wszystkich mieszkaniach rozkładano każdego wieczora na podłogach legowiska, aby dzieciarnia miała gdzie spać, z radością pobiegły do niewielkiego ogródka kopać dziurę w ziemi. Dorośli co prawda ich przeganiali, mieli za złe, że kręcą się pod nogami i przeszkadzają, ale nie bardzo było gdzie iść. Dziura była coraz większa i wyraźnie wszystkich to cieszyło. Mówiło się o niej „schron", co bardzo się – zwłaszcza młodzieży – podobało. Kiedy dorośli skończyli na ten dzień pracę i rozeszli się do mieszkań, prawdziwa zabawa dopiero się zaczęła.

Taki schron zakryty na wierzchu gałęziami owocowych drzew, z których przedtem dozorca gnał miotłą, stwarzał możliwości, jakich nigdy przedtem nie było. Szaleli zwłaszcza ci, dla których był to ostatni dzień wakacji. Toteż, gdy trzeba było iść już do domu, przerywając kolejną napaść Indian na białych osadników skrytych w schronie – bo głosy matek nawołujących z okien wsparli już ojcowie, a to pachniało laniem – wszyscy z żalem spoglądali na pryzmę żółtego piasku i ten, tak świetny do zabawy dół. Uczniowie umawiali się na jutro po szkole, a młodsi szykowali się na zabawę od rana.

Rano następnego dnia znów było piękne, błękitne i bezchmurne niebo, i pogoda w sam raz na zabawę. Tylko że już nikt się nie bawił... Na tym niebie wysoko, wysoko, ledwo widoczne, powoli przesuwały się srebrne, aż prawie białe, krzyżyki samolotów i od tych krzyżyków odrywały się początkowo niewidoczne, a później coraz wyraźniejsze czarne punkciki, szybko spadające ku ziemi. Znikały gdzieś za domami i w tym miejscu po chwili błyskało się jakby trafił tam piorun; później buchał dym, czasem zmieniający się w czerwony ogień. Jeszcze ta chmura dymu nie zdążyła się dobrze podnieść w górę, a już słychać było huk. Początkowo od błysku do huku upływało dość sporo czasu. Ale już po kilku minutach, aby zobaczyć samoloty trzeba było dobrze zadrzeć głowę, te dwa zjawiska zlały się w jedno. Zbliżało się „to" coraz bliżej do podwórka z kamienicą i drewniakami. A radio lokatorów z kamienicy ustawione na oknie, grzmiało na całe podwórko ostrzeżeniami, komunikatami; ktoś przemawiał, ktoś nawoływał, ogłaszał alarmy lotnicze dla coraz to nowych miast. „Alarm lotniczy dla miasta Warszawy" – ogłoszony już wcześniej, właśnie trwał. Jękliwy ryk syren już przebrzmiał. Teraz ze straszliwym, narastającym i porażającym wszystkich świstem zbliżały się do naszej ulicy, naszego podwórka – bomby. „Schron" był pełen przerażonych kobiet, przygarniających do siebie jak najbliżej płaczące dzieci. Byli tu i mężczyźni, bladzi, nieogoleni, nie wiedzący co z sobą zrobić. Jeszcze nie wypadało im okazywać strachu, a już się bali. Bo i któż by się nie bał? Bezbronny, w nędznej dziurze wygrzebanej w ziemi, nakrytej gałęziami, przez które przeświecało słońce. I jeszcze ten dodatkowy strach – przed gazem!

Wszyscy wtedy strasznie bali się gazu, może nawet bardziej niż bomb. Bo bomba może trafić gdzieś obok, a gaz dojdzie wszędzie. Więc gdy rąbnęło tuż blisko w fabryczkę mydła, która zaczęła płonąć i swąd tłuszczu i jakichś chemikalii wtargnął do schronu, zapanowało w nim piekło. Płacz przerażonych dzieci, krzyki kobiet, rozpaczliwe wołania mężczyzn: gaz, gaz! I przepychanie, deptanie po tych, co upadli przy wyjściu z dołu. Każdy chciał uciec z tej śmiertelnej – jak się wszystkim zdawało – pułapki. Nieliczni, mający przeciwgazowe maski, zakładali je, wpędzając swym wyglądem małe dzieci w paroksyzm strachu. Inni, nie wstydząc się zupełnie, siusiali w chusteczki i przykładali je do nosa, bo to podobno miało trochę pomóc. Pożar z fabryczki mydła, przerzucił się na jeden z drewniaków, ludzie trochę zapomnieli o gazie, a poza tym nikt jakoś nie umierał i rzucili się ratować dobytek.

Ktoś zorganizował gaszenie, podawano sobie wiadra; dozorca wyciągnął wąż do podlewania ogródka podszedł do ognia i ciurkał po ścianach wodą. Czarny dym z sadzami osiadał na twarzach ludzi, wyciskał łzy z oczu. Teraz już wszyscy wyglądali jak dzieciaki w czasie zabawy w murzyńską wojnę. Tylko że nikt tu nie miał dostać lania za wymazanie ubrania i twarzy.

Nie wiadomo kiedy srebrne krzyżyki zniknęły z nieba, znów było cicho i błękitnie. Przybyli wreszcie strażacy i ugasili ogień. Z drewniaka, w którym mieszkało kilka rodzin, zostały zgliszcza, reszta domów ocalała. Część pogorzelców przygarnęli sąsiedzi, reszta nie chciała już mieszkać pod żadnym dachem – koczowali w schronie. Strach przed gazem ustąpił, z radia zapewniano, że nie stwierdzono nigdzie, aby napastnik używał bomb gazowych. Niektórzy wyraźnie wstydzili się teraz tego siusiania, zwalając wszystko na fabrykę mydła. I w ogóle ludzie jakby stwardnieli – wyzwolili się z tego pierwszego szoku. Życie dzieci też się zmieniło. Skończyły się wycieczki na sąsiednie boisko, uganianie się po ulicach. I nikt nie poszedł do szkoły. Teraz wszyscy musieli trzymać się blisko rodziców, w zasięgu ich wzroku. A niedaleko schronu, zaraz przy klombie z różami, pojawiły się dwa żółte kopczyki i wetknięte w nie krzyże zbite z desek. Pochowano tam dwóch mężczyzn, którzy zginęli w tej fabryczce.

Bomby padały co dnia, raz dalej, raz bliżej, aż piątego dnia wojny spadły na frontową kamienicę. I właśnie ten śmieszny schron – dziura wygrzebana w ogródku – uratował ludzi. I to nie tylko miejscowych, ale i uciekinierów z innych miast – z Łodzi, Katowic... Po kamienicy zostały ruiny, po drewniakach kupka popiołu – wypaliły się bowiem do cna. Lokatorzy zarzucili na plecy tłumoki z tym, co zdołali uratować i rozeszli się po Warszawie. Część poszła na tułaczkę razem z innymi warszawiakami, gdzieś w kierunku Siedlec, Lublina.

Później były już nie tylko bomby, ale i pociski artyleryjskie, jeszcze później strzały z karabinów maszynowych i zwykłych. I był głód, i brak wody, i coraz więcej zabitych. Teraz już wszyscy kopali, ryli dziury w jezdniach ulic, budowali barykady. Ósmego dnia wojny podano przez radio pierwszy komunikat Dowódcy Obrony Warszawy: *„... Objęliśmy pozycję, z której nie ma zejścia. Na tej pozycji wróg może usłyszeć tylko jedną odpowiedź: Dość, ani kroku dalej."*

11 dywizji, znaczne siły artylerii, czołgi i lotnictwo rzucili Niemcy na Warszawę. Ale kroku dalej dać nie mogli. Mieli przeciw sobie nie tylko wojsko. Wszyscy mieszkańcy stolicy, jak kto mógł i na ile go było stać, stawali się obrońcami swojego miasta.

24 września spadły na ulicę zrzucone z samolotów, ulotki wzywające załogę Warszawy do poddania się. Straszono w nich użyciem gazów i wielkim nalotem. To było w niedzielę. W poniedziałek ponad 150 hitlerowskich samolotów bombardowało miasto od szóstej rano do ósmej wieczorem. Jednocześnie na ulicach rozrywały się pociski artyleryjskie. Zabrakło wody do gaszenia pożarów. Tysiące zabitych. Miasto, którego obrony nikt w planach nie przewidywał, broniło się 26 dni. Było to pierwsze wielkie miasto Europy, które powiedziało niemieckiemu faszyzmowi – nie!

Poległo i odniosło rany 60 tysięcy jego mieszkańców, nie licząc żołnierzy. Dwanaście procent domów legło w gruzach.

Za hitlerowskim wojskiem wkraczającym do Warszawy, czaili się już zbrodniarze z Grupy Operacyjnej IV (Einsatzgruppe IV), hitlerowskiej policji bezpieczeństwa. I już w pierwszych dniach po zajęciu miasta ukazały się na jego murach plakaty: **„Zawiadomienie o wykonaniu wyroków"** – śmierci oczywiście. Tak zaczęła się okupacja Polski i jej stolicy. Później były Palmiry, obozy koncentracyjne...

Kto z tych licznych lokatorów kamienicy frontowej i drewniaków, kryjących się przed śmiercią z pogodnego, błękitnego nieba w ogródkowym schronie, przeżył te czasy? Niewielu, bardzo niewielu.

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. **archiwum**

Z KOMUNIKATÓW SZTABU WOJSKA POLSKIEGO

1.IX.1939 r. około 5,00 godziny wojska niemieckie wkroczyły na terytorium Rzeczypospolitej i rozpoczęły działania zaczepne... Lotnictwo nieprzyjacielskie bombardowało w ciągu dnia liczne obiekty wojskowe, nie wyrządzając większych strat.

2.IX. Nieprzyjaciel kontynuował w dniu dzisiejszym działania zaczepne...

3.IX. Naloty lotnictwa niemieckiego na terytorium Polski trwają nadal, powodując duże straty pośród ludności cywilnej...

4.IX. W ciągu nocy, z dnia 3 na 4, i 4 września trwały bombardowania podmiejskich miejscowości lotniskowych pod Warszawą, powodując liczne pożary i ofiary w ludziach. Bombardowano także Warszawę...

5.IX. ...Na froncie północnym zmotoryzowane oddziały nieprzyjaciela osiągnęły rejon Ciechanów – Płońsk... Dnia 4 bm. w godzinach przedwieczornych koncentryczny napad lotniczy na Warszawę. W nalocie brało udział około 70 bombowców, które rzucały kruszące i zapalające bomby.

6.IX. ...Dzisiaj kilkakrotnie była bombardowana Warszawa.

7.IX. ...Na mosty w Warszawie dokonano dziś kilku nalotów.

8.IX. Warszawa... na Placu Centralnym, Nalewkach i ulicy Długiej padły bomby.

9.IX. ...W stronę Małkini i Wyszkowa wojska nieprzyjacielskie podeszły pod Warszawę. Na południe od Warszawy walki na przedpolu Wisły.

10.IX. Lotnictwo niemieckie kontynuowało akcję bombardowania. Oddziały nieprzyjacielskie wycofały się z bezpośredniego przedpola Warszawy.

11.IX. Nieprzyjaciel bombardował Warszawę...

12.IX. Warszawa, Modlin, Brześć bronią się same w okrążeniu...

13.IX. Ubiegłej nocy i w ciągu dnia oddziały nasze wypierały nieprzyjaciela z bezpośredniego przedpola Warszawy.

16.IX. ...Pod Warszawą i Modlinem położenie bez zmian.

Komunikat z dnia 16 września był ostatni. Naczelne dowództwo przekroczyło granicę Rumunii... Dalszy ciąg wydarzeń widziany ze strony najeźdźcy.

Z KOMUNIKATÓW OBERKOMMANDO DER WEHRMACHT

18.IX. ...Główny wysiłek wszelkich przedsięwzięć 3 armii skierowany jest na przygotowanie natarcia na Warszawę.

19.IX. ...Na przedpolu Pragi wzmogło się działanie artylerii nieprzyjacielskiej; na obszarze tyłowym 3 armii na wschód i południowy wschód od Warszawy wciąż jeszcze strzelanina...

20.IX. Między Modlinem a Warszawą nieprzyjaciel zaatakował ponownie...

23.IX. 3 armia siłami głównymi zamyka Warszawę od wschodu...

25.IX. 8 armia w toku natarć z ograniczonym celem osiągnęła czołowymi oddziałami rubież Augustówka – Czerniaków – centrum Mokotowa.

26.IX. ...W Warszawie zaciekłe walki uliczne.

27.IX. ...Po silnym ostrzeliwaniu artyleryjskim w nocy z dnia 26 na 27 września, jak również po nieprzerwanym natarciu na całym froncie, Warszawa zaproponowała kapitulację.

28.IX. Twierdza Warszawa włącznie z Pragą skapitulowała bezwarunkowo dziś o godzinie 13,15. W mieście szaleją pożary...

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

KRYPTONIM „HIMMLER”

W ciągu ostatnich 48 godzin dokładnie, z niemiecką pedanterią, tłumaczono im to zadanie. Wbijano w pamięć każdy szczegół i drobiazg. Część pędzi za dowódcą, inni wpadają do pomieszczeń technicznych. Łomot uderzeń miesza się z brzękiem szkła. To pod ciosami kolb rozpadają się wskaźniki i zegary. W jakiś czas potem zapada martwa cisza.

W parę godzin po utarczce, wieczorem 31 sierpnia 1939 roku, w okresie największego napięcia stosunków między Polską a Niemcami, radiostacje całego świata nadają już wiadomość o wtargnięciu polskich oddziałów wojskowych na terytorium Niemiec. Incydent ten najszerzej oczywiście komentują rozgłośnie niemieckie. Oburzają się na polską bezczelność i wzywają rząd Rzeszy do natychmiastowej zbrojnej reakcji.

Taki był początek światowej tragedii, która zaczęła się 31 sierpnia 1939 roku prowokacją gliwicką! Prowokacją, będącą prawdziwym zapalnikiem wojny, służącą za pretekst do najazdu hitlerowskich hord na Polskę 1 września o godzinie 4,45.

Kto zorganizował ten napad? Kim byli jego uczestnicy? Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania. Żeby lepiej zrozumieć historyczne tło tych dramatycznych wydarzeń, przypomnijmy fragment przemówienia Hitlera, które 22 sierpnia 1939 roku wygłosił on do wyższych dowódców armii w Obersalzbergu. Hitler mówił wtedy:

„... Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem. Celem musi być nie dotarcie do jakiejś oznaczonej linii, lecz zniszczenie siły żywej. Nawet gdyby wojna miała wybuchnąć na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być pierwszym naszym zadaniem. Dla celów propagandy podam jakąś przyczynę wybuchu wojny, mniejsza z tym, czy będzie ona wiarygodna, czy nie. Zwycięzcy nikt nie pyta, czy powiedział prawdę. W sprawach związanych z rozpoczęciem i prowadzeniem wojny nie decyduje prawo, lecz zwycięstwo. Bądźcie bezlitośni, bądźcie brutalni...”

Jeszcze tego samego dnia, po przemówieniu, Hitler ustala datę najazdu na Polskę. Atak zgodnie z jego rozkazem ma się rozpocząć o świcie 26 sierpnia. Plany te nie zyskują jednak poparcia faszystowskich Włoch. Komplikują się również stosunki z Anglią, która 25 sierpnia 1939 roku podpisuje z Polską układ o wzajemnej pomocy. Sytuacja ta sprawia, że Hitler musi na kilka dni odłożyć agresję przeciwko Polsce. Nie rezygnując jednak z niej, z całą energią podejmuje próby sfabrykowania sobie alibi. Chodzi mu o stworzenie pozorów zaczepnych działań ze strony polskiej, o udokumentowanie światu, że winę za wybuch wojny ponoszą Polacy.

Ta przebiegła, mistyfikatorska gra polityczna wywołuje cały łańcuch prowokacji. W ciągu kilku następnych dni Niemcy wysadzają most pod Tczewem i napadają na własną strażnicę w Łagiewnikach koło Bytomia, demolują przygraniczne placówki i domostwa. Najgłośniejszą z nich staje się jednak prowokacja w Gliwicach.

Odtwórzmy raz jeszcze przebieg tego incydentu. Otóż akcja ta, nosząca kryptonim „Himmler”, przygotowana została przez SS i niemiecki wywiad wojskowy. Całością kierował szef partyjnej Policji Bezpieczeństwa, Reinhard Heydrich, i szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris. Jej wykonanie powierzono specjalnie dobranej i wyszkolonej grupie esesmanów, dowodzonej przez Alfreda Helmuta Naujoksa. Realizując precyzyjny plan 31 sierpnia 1939 r. o godz. 20,00 oddział SS przebrany w mundury polskiej armii wtargnął do budynków radiostacji w Gliwicach. Po opanowaniu rozgłośni prowokatorzy wygłaszają kilkuminutowe przemówienie w języku polskim. Jego treść jednoznacznie nawołuje do wojny z Niemcami. Po transmisji esesmani niszczą urządzenia radiowe, pozostawiając jako dowód rzekomego polskiego napadu zwłoki jednego z napastników w polskim mundurze. Był to – jak ustalono po wojnie – niemiecki więzień kryminalny dowieziony i zastrzelony na miejscu akcji.

Natychmiast po napadzie zjawia się w radiostacji nieświadoma niczego niemiecka policja. Do budynku nie zostaje jednak wpuszczona. Na miejscu jest już bowiem gestapo. Informuje ono policję, że polska jednostka dokonała napadu i że Polacy zastrzelili strażnika.

Tyle mówią fakty, które świadczą, że akcja „Himmler” była przemyślana w najdrobniejszych szczegółach. Zaraz bowiem po jej zakończeniu, po przesłuchaniu personelu rozgłośni, funkcjonariusze gestapo pod groźbą zamknięcia w obozie koncentracyjnym nakazują wszystkim milczenie. Natychmiast też przystępują do likwidacji wszelkich śladów. Jest sprawą oczywistą, że sprawców nikt nie próbuje ścigać.

Tajemnica prowokacji gliwickiej została wyjaśniona ostatecznie dopiero w roku 1945, na procesie zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Wówczas to okazało się, że przygotowania do tego incydentu podjęto w Niemczech już 10 sierpnia 1939 roku. Udowodniono również niezbicie, że jej inspiratorem był sam główny szef policji niemieckiej, Heinrich Himmler.

Proces w Norymberdze ujawnił więc w całej pełni nie tylko niemiecką winę, lecz i przekonał światową opinię publiczną, jakimi środkami operowała prowokacyjna polityka Niemiec hitlerowskich w 1939 roku.

ANDRZEJ ŻAK

Zdjęcia, które zamieszczamy (także i na str. 1) zostały wykonane w czasie powstawania filmu pt. „Prowokacja gliwicka”. Film nakręciła Telewizyjna Wytwórnia POLTEL w Katowicach. Reżyserem jest Zbigniew Chmielewski, autorami scenariusza: Eugeniusz J. Kozłowski i Włodzimierz T. Kowalski.

Fot. Z. Bisanz

Dziwna jest przewrotność losu

Historycy wypowiedzieli już swoje opinie. Ujęto w naukowe opracowania losy militarnych batalii tamtego, tragicznego i bohaterskiego zarazem Września, logicznie zanalizowano przebieg niemal wszystkich dni walki. Nie zamknięto jednak księgi indywidualnych losów ludzkich. Pamięć uczestników wrześniowych zmagań przechowuje takie przede wszystkiem obrazy pochodzące z tamtego okresu. Wrażenia bombardowanych kolumn cywili, pierwsze zetknięcie z masową śmiercią, pierwszy kontakt z machiną niosącą nie spotykaną przedtem zagładę.

Opowiada pan Mieczysław Kościelniak, artysta-malarz. Wówczas: dowódca plutonu artylerii.

– Stawiłem się do swojego pułku stacjonującego w Pleszewie Wielkopolskim 24 sierpnia 1939 roku. To był 70 pułk piechoty. I dni dzielące nas od 1 września nie zachowały się zbyt mocno w mojej pamięci. Były wrastaniem w nową rzeczywistość, poznawaniem kolegów i przełożonych. Także niepokojem – do chwili rozpoczęcia agresji hitlerowskiej na Polskę nie znaliśmy przecież dokładnej jej daty. Pierwsze prawdziwe zetknięcie z wojną taką, jaką ona wówczas była, nastąpiło w okolicach Łęczycy 3 września. Częściowo podwożeni pociągiem, częściowo przemykając się do wyznaczonego miejsca koncentracji, do tej pory nie braliśmy jeszcze udziału w bezpośrednich starciach. Byłem świadkiem – najgorzej, że w większości wypadków bezsilnym. Niemieckie samoloty zjawiały się nagle, w ułamku sekundy jakby kierując się nad zatłoczone uciekinierami szosy. Błysk, huk, serie z broni maszynowej – i cisza, najgorsza, przerażająca cisza. Ludzie czegoś podobnego nie spodziewali się; uciekając najczęściej z całym dobytkiem nawet nie mieli gdzie się schować. Upływały często długie chwile, zanim ci, co ocaleli zdali sobie sprawę z tego, co się stało. Tylko, że sprawców już wówczas dawno nie było...

Pierwszą potyczkę artyleryjską stoczyłem właśnie w tamtych łęczyckich okolicach. Staliśmy w jakimś lasku, gdy nagle na motocyklu zjawił się łącznik z rozkazem ostrzelania podanego celu. Gdzie, co – jak tu nikogo nie widać? Ale – rozkaz ostrzelania wsi Topole, pół kilometra dalej, wykonaliśmy. Ruszyła potem piechota i okazało się, że cel podany był precyzyjnie. W Topolach stacjonował pułk niemiecki. Właśnie zadowoleni z wykonania zadań żołnierze zabierali się do odpoczynku. Jak potem opowiadał obserwator, czuli się tak bezkarnie i pewnie, że nawet go nie zauważyli. Rozbiliśmy ich całkowicie.

Przerzucono nas w okolice Krośniewic, mieliśmy za zadanie osłaniać linie kolejowe, którymi szło zaopatrzenie dla toczącej się już nad Bzurą bitwy. To były dni, kiedy mogłem mówić o szczęściu, jeżeli niemieccy lotnicy atakowali nas tylko cztery razy. Rozlokowani pomiędzy zbiegającymi się torami, byliśmy celem bezustannych ataków. Taka wojenna mądrość – nauczyłem się wskakiwać w leje po właśnie zrzuconych bombach. Po prostu jak wielu moich kolegów zauważyłem, że jest to najbezpieczniejsze miejsce. I tam leżąc na plecach obserwowałem, jak kolejne fale samolotów zrzucały swój ładunek, ustępowały miejsca następnym, i jeszcze następnym. Po każdym nalocie fruwało w powietrze wszystko: słupy telegraficzne, szyny z podkładami, fragmenty domów. Początkowo staraliśmy się za wszelką cenę utrzymać linie zaopatrzenia. Potem straciło to sens, żadne zaopatrzenie już nie napływało. Byłem bez przerwy głodny, bez wody. Wszędzie porozbijane działa, polegli. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób przeżyłem.

Mój pułk, a raczej ocalała jego część, wycofany został bezpośrednio nad samą Bzurę. W tym miejscu kręte koryto rzeki tworzyło szereg niby półwyspów, otoczonych łąkami. Rozlokowaliśmy się po prostu w przybrzeżnych krzakach, na tyle gęstych, by zasłaniały nas przed lotnictwem. Niemcy znajdujący się na drugim brzegu najprawdopodobniej nie zauważyli nas, bo właśnie tutaj postanowili się przeprawić. Bardzo szybko przerzucili przez rzekę rodzaj mostu pontonowego i... zaczęli przechodzić. Padł rozkaz do ataku! Rozbiliśmy ich i w sensie dosłownym – uczestniczyłem w podobnej akcji po raz drugi. Najciekawsze jest jednak to, że wzięci do niewoli jeńcy błagali nas... aby nie wykłuwać im oczu! Po prostu taka była po stronie niemieckiej propaganda, tak był przedstawiony polski żołnierz. Jeden z mówiących po niemiecku naszych podoficerów nie wytrzymał i spoliczkował najbliższego Niemca. Ale po paru godzinach musieliśmy z braku czegoś do jedzenia dawać im ostatnie, zerwane gdzieś na polu, jabłka. Byli zupełnie niewytrzymali na głód.

Z jabłkami sprawa też nie była prosta. Któregoś dnia zauważyłem, że obok wypalonego domu, stojącego w sąsiedztwie, ocalała jabłoń. Postanowiliśmy wraz z kolegą zebrać chociaż trochę owoców, o chlebie już dawno zapomnieliśmy. Nie wiem, czy poruszaliśmy się zbyt wolno, czy wyszliśmy przez moment na odkrytą przestrzeń. Usłyszałem w pewnym momencie ryk silnika nadlatującego samolotu i tuż obok mnie, o parę centymetrów zobaczyłem pociski wbijające się w piasek. Uciekać! Ale dokąd?... Wtedy w pobliżu zauważyłem wylot rury melioracyjnej. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się zmieścić do środka, ale była to już najwyższa pora. Samolot właśnie wracał.

Duma, że uczestniczyłem w bitwie zwanej potem bitwą nad Bzurą, przyszła nieco później. Mój pułk został rozbity. Poprzez Kampinos dotarłem do Warszawy, na tydzień przed jej kapitulacją. Obok Cmentarza Powązkowskiego odłamki pocisku wyeliminowały mnie z dalszej walki. Szpital, leczenie, praca w konspiracji. A potem rzecz jeszcze straszniejsza: cztery lata w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przeżyłem jednak. I w 1945 roku miałem okazję zasiąść w Bertechsgaden, w dawnej rezydencji Hitlera, w jego paradnym fotelu. Ja – przedstawiciel narodu skazanego na zagładę, uczestnik walk wrześniowych, oświęcimiak.

Spisał MAREK ZARĘBSKI

40 rocznica wybuchu II wojny światowej

Mój dziadek przeżył Oświęcim...

Małe dzieci, szczególnie chłopcy, lubią bawić się w wojnę. Patrząc na ich roześmiane twarze i ładne, czyste ubrania nie raz zadaję sobie pytanie: „Czy taki siedmio-, ośmiolatek zdaje sobie sprawę w co się bawi, czy ma w ogóle pojęcie, co to jest wojna?” I od razu sobie odpowiadam – że nie wie, że te karabiny i pistolety, którym się bawi, to na szczęście tylko zabawki.

1 września mija 40 lat od wybuchu II wojny światowej. Była to wojna na śmierć i życie. Hitler napadając przed 40 laty na Polskę myślał, że nasz kraj łatwo mu się podda, myślał, że jeśli będzie brał ludzi do tych swoich okropnych obozów, to zdradzą oni swoją Ojczyznę. Ale jego marzenia nie spełniły się. Większość ludzi w naszym kraju wolała zginąć niż wydać Polskę. Wielu wśród nich było bardzo młodych. Oglądałam niedawno film „Ptaki ptakom”, widziałam też kilkanaście dni temu Wieżę Spadochronową w Katowicach. Na tej wieży we wrześniu 1939 roku zginęło wiele katowickich harcerek i harcerzy, którzy dzielnie, do śmierci własnej bronili swojego miasta. Byli tacy młodzi, całe życie byłoby przed nimi, gdyby nie ta wojna.

Mój dziadek przeżył dwa obozy koncentracyjne: Oświęcim i Majdanek. Opowiadał mi, że nie ma nic straszniejszego niż przeżyć taki obóz. Jedzenia było tak mało, że ledwie można było wyżyć, a do tego czy to mróz czy upał trzeba było ciężko pracować. Kilka milionów ludzi zginęło w Oświęcimiu. Mój dziadek żyje, ale nie może zapomnieć.

Nikt nie może tego zapomnieć. A ci, co jak ja, urodzili się już po wojnie, też powinni to pamiętać. Niemcy próbowali na ludziach przebywających w obozach koncentracyjnych swoich szczepionek. Było to z ich strony tak okrutne, że dzisiaj wydaje się aż niemożliwe. W wiele rzeczy trudno uwierzyć – chociażby w komory gazowe, w których zginęło tyle osób. Byłam w Oświęcimiu na wycieczce, widziałam tę komorę. To wszystko, co nie mieści się niemal w głowie, to prawda. Tak było.

Ta wojna trwała 6 lat. Już po zdobyciu Berlina na Hiroszimę zrzucono straszną bombę atomową. Prawie wszyscy jej mieszkańcy zginęli, a ci którzy przeżyli, zostali zarażeni straszną chorobą. Ich dzieci też na nią zachorowały. Jeszcze dzisiaj są ludzie chorzy na nią. Chociaż minęło już 40 lat.

Ja mam lat 13. I bardzo chcę żyć. Długo. JA NIE CHCĘ NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

AGNIESZKA GODYŃ,
Krzeszowice
(członek Ligi Reporterów)

REDAKCYJNA POCZTA

Co robić, aby się zmienili?

Chcę poruszyć problem chuligaństwa w szkole. Jest ono rozpowszechnione wśród uczniów nie przechodzących do następnych klas. Tworzą oni dość zwarte grupy, biją dzieci z młodszych klas, kradną. Palą papierosy, piją napoje alkoholowe. Gdy nie mają na to pieniędzy, „pożyczają" od innych mówiąc, że na lody itp. W szkole, do której ja chodzę, taka grupa działała przez kilka tygodni. Życie w szkole było wtedy nie do zniesienia. Przeszkadzali nauczycielom w prowadzeniu lekcji, a nawet ich obrażali. Na wielu zebraniach samorządu szkolnego wspólnie z nauczycielami szukaliśmy na to rady. Prośby ponawiane pod ich adresem nie dawały żadnego rezultatu. Nadal grasowali, wyłudzając lub po prostu kradnąc pieniądze od młodszych uczniów. Wyjście na boisko w czasie przerwy między lekcjami groziło podbitym okiem lub siniakiem wielkości pięści. Aż po kilku tygodniach wszystko się uspokoiło. Czy przemówiły im do rozsądku argumenty nauczycielki, może był inny powód? Mam nadzieję, że w nowym roku szkolnym już nigdzie i nigdy nie będą działy się takie rzeczy. Życzę tego wszystkim szkołom z całego serca.

Robert

Wykażcie więcej inicjatywy

Piszę w związku z listem Małgosi, który ukazał się w „Redakcyjnej Poczcie" w ubiegłym roku szkolnym. autorka listu uskarża się na nudne lekcje biologii i brak zieleni w pracowni biologicznej. Myślę, że jest na to rada i to bardzo prosta. Jeśli chodzi o to, aby lekcje były ciekawsze, to można samemu wyszukiwać różne ciekawostki, poprosić nauczycielkę o pięć minut na „pochwalenie się" zebranymi wiadomościami. Z tej metody korzyść odniesie klasa, gdyż będzie to procentowało przy końcowych ocenach. Z upiększeniem pracowni też można sobie poradzić. Sami uczniowe mogą się o to postarać, ogłaszając konkurs na najpiękniejszą roślinę ofiarowaną pracowni. Z pewnością każda klasa postara się o oryginalne rośliny. Istnieją przecież szkoły z tak urządzonymi gabinetami biologicznymi. Dlaczego nie miałoby tak być w szkole Małgosi?

też Małgorzata

Czy dbałość przeszkadza?

Minął już mój kolejny rok szkolny, siódmy z kolei. Rozpoczęłam ósmy. Zawsze lubiłam mieć czyste i kolorowe okładki na zeszytach i podręcznikach. Nie wiem co mnie napadło, jeszcze podczas wakacji zabrałam się do okładania książek. Obłożyłam je w żółty, błyszczący papier. Na każdej w prawym roku nakleiłam serduszka. Wygląda to prześlicznie. Mogę na nie patrzeć bez końca! Przyłapał mnie na tym tata i aż zachwiał się ze śmiechu, a potem ostrzegł, żeby mi cały rok nie zleciał na patrzeniu, bo może mi czasu nie starczy na ich przeczytanie. Poczułam się urażona. Też coś – jeśli człowiek ma do książki zaglądać z ochotą, to musi ją przedtem polubić! Zresztą nie tylko tata się śmieje. Dorota też wzruszyła ramionami, gdy pochwaliłam się jej swoimi nowymi okładkami. Powiedziała, że mam mentalność pierwszaka. Zabrzmiało to jak obelga, a ja nie widzę w tym nic złego i śmiesznego. Czyżby tylko pierwszaki miały mieć ładne zeszyty i książki, a reszta to już może być byle jak i byle co?!

Jola ze Szczecina

Podsłuchane podpatrzone na trasie (4)

W Dołholiskach spotkaliśmy zastępy NAL, które na rowerach organizują rajdy po okolicy. Nic więc dziwnego, że w jeździe na rowerach i rozbijaniu biwaku nalowcy byli nie do pokonania

Fot. R. Ratajczyk

Trochę grozy i wór przyjemności

Następny dzień rozpoczęliśmy meczem siatkówki z reprezentacją obozu z Jarosławia. Rajdowa drużyna ma szczęście do jarosławskich harcerzy. Biwakował już na terenie ich obozu rajd trzeci i czwarty, a teraz my – piąty. Rajdowcy grali tak dobrze, że zeszli z boiska pokonani. Nawet druh Andrzej Łotko, kwatermistrz „Rumcajsem" zwany, nie uchronił naszej drużyny od dotkliwej porażki. Ale w wyścigu na rowerach bylibyśmy chyba górą...

Święto 22 Lipca obchodziliśmy z okolicznymi obozami i włodawskim społeczeństwem. Uczestniczyliśmy w wiecu i w występach zespołów artystycznych. Zabawę ludową popsuł jednak ulewny deszcz. Rajdowy biwak zamienił się w sadzawkę i niektórzy wodę musieli z namiotów wylewać. Szef organizacyjny rajdu, hm Ryszard Szaniawski, ze względu na prawie 2-metrowy wzrost „Drobiażdżkiem" zwany, pocieszał nas, że mamy szczęście, bo „to nie Bieszczady, gdzie w czasie ulewy ryby w namiotach można łowić". Nie żałujemy, bo ryby i tak były. Postarał się o to sam komendant, wędkarz zawołany. Złowił tyle leszczy, że starczyło na kolację i śniadanie. I znowu Stefcio Stiff, czyli nasz profesor, miał pełne ręce roboty: skrobał, patroszył i smażył. Prawie przez trzy godziny.

Włodawskie spotkania zakończyliśmy wspólnym ogniskiem z jarosławskimi harcerzami. Mimo wesołych piosenek i żartobliwych wspominków z poprzednich spotkań, było nam jakoś smutno. Chyba po raz pierwszy chcielibyśmy pozostać na biwaku jeszcze choć jeden dzień. Dobrze nam było tu, nad włodawskim jeziorem Glinki, wśród setek przyjaciół, rozśpiewanych, serdecznych i jak my skorych do zabawy. Czas jednak w drogę, po nowe przygody i do nowych przyjaciół.

Spotkaliśmy ich już w Dołholiskach koło Wisznic. Ale tym razem – nie tylko przyjaciół... Zaraz po capstrzyku wyrwał nas ze śpiworów krzyk wartowniczek. To gromada wyrostków postanowiła urządzić sobie zabawę w podchody. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie sypiące się na biwak kamienie. To już nie zabawa, a zwyczajny wygłup rozwydrzonych typków. I tak aż do trzeciej nad ranem. Dopiero zmasowany pościg za napastnikami przywrócił spokój na rajdowym biwaku. Opowiadano nam później, że miejscowi „żartownisie" potrafią wybić w szkole szyby i zwalić komin. Dziwne, że rodzice młokosów nie zatroszczą się, gdzie i jak spędzają noc ich „pociechy".

Po nocnych przygodach – wesołe zabawy z przebywającymi w letnim dziecińcu maluchami. Na wykonanych przez nie rysunkach znalazł się nawet nasz kolorowy biwak. Rajdowe jury konkursu miało niełatwe zadanie, komu przydzielić pierwszą nagrodę. Przyznało więc nagrody wszystkim. Miłym dla nas zaskoczeniem było przybycie kilkunastoosobowej grupy harcerek i harcerzy na rowerach. Okazało się, że wisznickie zastępy NAL już od sześciu lat organizują rajdy rowerowe po okolicy. Nic też dziwnego, że w konkursie jazdy na rowerze i z przepisów ruchu drogowego byli nie do pokonania. Blisko setka nalowców, całe autentyczne zastępy, przybyła na rajdowy biwak. Nawet sześcioletnia Joasia Kanoniuk z Łuniewa przybyła, by zobaczyć rajd „Świata Młodych", którego jest już czytelniczką.

Czy spotkamy jeszcze taki hufiec jak wisznicki, w którym działa 25 zastępów nieobozowego lata, obejmujących aż 376 dziewcząt i chłopców? A trzeba dodać, że ten hufiec liczy zaledwie 616 członków. Harcerki i harcerze tego hufca uczestniczą w operacji „Bieszczady 40", w akcji „Morena" i w obozach żeglarskich. Ale są tu instruktorzy, których mieliśmy okazję widzieć w działaniu, we wspólnej zabawie z nalowcami. Hm Marian Nuszczyk – komendant hufca, hm Antoni Sawicki – dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej, nie zawiesili instruktorskiej działalności w okresie wakacji, jak też nie zawiesili jej pozostali instruktorzy hufca.

Takie spotkanie jak w Dołholiskach podnosi na duchu i mobilizuje. Jechało się więc nam do Białej Podlaskiej wesoło i lekko. Pociągał nas również biwak na terenie Bialskopodlaksiego Klubu Jeździeckiego. Komendant postanowił nam udowodnić, że punkt rajdowego regulaminu – „Komendant ma zawsze rację" – nie jest czczym wymysłem. Przed wyruszeniem na trasę życzył nam przyjemnej jazdy i... ulewy. Jedno i drugie życzenie spełniło się co do joty. Tuż przed rogatkami stolicy województwa przeżyliśmy istny potop. Pierwsza na trasie kąpiel w ulewie. Przemokliśmy do suchej nitki, a ze sfatygowanych trampków woda sikała jak z fontanny. Wspaniałe to uczucie, że nawet taka ulewa nie jest w stanie zatrzymać naszego rajdu.

Biwak kapitalny! Znowu inny niż poprzednie, a w dodatku – można tu palić ognisko, choćby całą dobę. Wreszcie wartownikom będzie ciepło, a i przemoczone na trasie dresy wyschną do rana. Tylko jedno nam nie wyszło – jazda na koniach. Zachorowały. Odwiedzaliśmy je często. Okazało się, że bardzo lubią cukierki, a my mieliśmy ich pod dostatkiem. Wczoraj były imieniny Krzysztofa, a dziś aż czterech Anek. Każda dostała po torbie tych przysmaków. Najbardziej żarłoczna była klacz „Łezka", pochłonęła niemal pół kilograma „owocowych".

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ALBIN SELLOK

ROZGŁOŚNIA HARCERSKA poleca

Po krótkiej wakacyjnej przerwie wznawiamy nasze propozycje dla tych, co w wolnym czasie po lekcjach zechcą odszukać nasz sygnał na falach krótkich. Starym słuchaczom dla przypomnienia, a nowym do wiadomości podajemy dokładnie jak i kiedy nas słuchać:

Program Rozgłośni Harcerskiej nadawany jest **na falach krótkich w paśmie 49 metrów, na częstotliwości 6195 kHz**. Audycje emitujemy codziennie od godziny 12.00 do 15.00 i powtarzamy od 15.05 do 18.00. W niedziele, święta i wolne soboty emisję rozpoczynamy o 10.00 i pierwszy blok programu trwa do godziny 14.00, a blok powtórzeniowy od 14.00 do 18.00.

Jak z tego wynika, wszystkie audycje nadawane są dwukrotnie w ciągu jednego dnia, dlatego w naszym rozkładzie podajemy dwie godziny – cyfry w nawiasie oznaczają godzinę powtórzenia.

Sobota, 1.IX. 11.00 (14.00) Nowości mimo starości – audycja muzyczna Macieja Dobrskiego; 11.40 (14.40) Ballady okupacyjne; 12.30 (15.30) Janosik i inni bandyci część I – audycja z cyklu Historia Amerykańskiej Muzyki Ludowej.

(Uwaga. Sobota jest ostatnim dniem wakacyjnej ramówki – początek programu wyjątkowo o godz. 10.00, zakończenie – 16.00).

Niedziela, 2.IX. – 11.00 (15.00) Dokoła piosenki; 11.30 (15.30) Baśnie Jana Christiana Andersena; 11.40 (15.40) Lista Przebojów Rozgłośni Harcerskiej część I; 12.10 (16.10) Ładne-niekoniecznie – reportaż Jarosława Kamieńskiego; 12.20 (16.20) Lista Przebojów RH część II; 13.30 (17.30) Muzyczny Koncert Życzeń. Życzenia nadajemy dla wszystkich, od wszystkich, z okazji i bez okazji, bezpłatnie. Wystarczy do nas napisać.

Poniedziałek, 3.IX. 12.00 (15.05) Po sygnale; 13.30 (16.30) Baśnie Jana Christiana Andersena; 14.30 (17.30) nowa książka tygodnia „Podróż po Polsce" Jarosława Iwaszkiewicza.

Wtorek 4.IX. – ponieważ jest to pierwszy wtorek miesiąca, mamy przerwę konserwacyjną.

Środa, 5.IX. 12.00 (15.05) Po sygnale – prowadzi Joanna Janeczek; 14.30 (17.30) Lista Przebojów – część I.

Czwartek 6.IX. 13.00 (16.00) Janosik i inni bandyci część II – audycja z cyklu Historia Amerykańskiej Muzyki Ludowej.

Piątek 7.IX. 13.00 (16.00) Paweł Koper proponuje – audycja muzyczna; 14.00 (17.00) Pogwarki poetyckie; 14.30 (17.30) powtórzenie Muzycznego Koncertu Życzeń.

Oprócz programu na falach krótkich polecamy Wam nasz cotygodniowy magazyn, nadawany w każdą niedzielę o godz. 19.20 w programie II Polskiego Radia, na falach średnich.

James B. Brenner — 26 — Opracowanie Stefania Antoniewicz

WIELCY WODZOWIE INDIAN

RYSZARD OAKES

Po ostatecznych klęskach w walce z armią USA Indianie zostali w większości wymordowani, rozbici i osadzeni w rezerwatach. Przez długi czas utrzymywani w terrorze, nie mieli możliwości połączenia się w walce o swoje prawa. Dopiero w latach sześćdziesiątych naszego wieku, kiedy w USA rozpoczął się ruch o prawa człowieka, również i Indianie wystąpili z własnymi żądaniami. W roku 1968 w Minneapolis zrodziła się idea ruchu Indian Amerykańskich (American Indian Movement). Duchowymi wodzami tego ruchu byli szamani – „Święci Ludzie", tacy jak Black Elk, Crow Dog, Lame Deare. jednym z pierwszych wodzów AIM był Ryszard Oakes, twórca idei Alcatraz. Pochodził ze szczepu Mohawk z Akwesasne. Najbardziej lubił swoje indiańskie imię – „Ranores", co znaczy Wielki Człowiek. Wielki – to dla Oakesa było określenie jego wyjątkowo wysokiego wzrostu. W 1969 roku Oakes został wodzem grupy Indian, która opanowała wyspę Alcatraz w zatoce San Francisco. Zsyłano tam najgroźniejszych przestępców amerykańskich. Od pewnego czasu władze USA zlikwidowały więzienia na Alcatraz, projektując – miejsca rozrywki. Indianie pod wodzą Oakesa zajęli opuszczoną wyspę, chcąc tam założyć wolne państwo Indian. Oakes mówił: *„Alcatraz nie jest wyspą, jest ideą. Przybyliśmy tu z ideą. Chcieliśmy zjednoczyć naszych ludzi, aby ukazać światu, że duch Indian jest ciągle żywy. Mało było nienawiści i gniewu w naszych sercach, gdyż myśl o jedności ogarnęła nas całkowicie w harmonii z życiem. Idea ta zrodziła się tu i rozprzestrzeniła nad całym krajem, nie jako ogień gniewu, ale ciepły żar."*

Po 19 miesiącach okupacji Alcatraz wojsko USA wygarnęło bezbronnych Indian i odprawiło okrętem na stały ląd, gdzie czekał ich sąd. Ryszard Oakes jeszcze przed końcem okupacji Alcatraz przekazał władzę w ręce jednego z najdzielniejszych wodzów Indian – Johna Trudella i udał się do Kalifornii, gdzie sytuacja Indian stała się najtragiczniejsza. W rezerwacie Pomo mieszkała żona Oakesa z dziećmi. Oakes przebywał tam jakiś czas i walczył w obronie Indian Pit River. W bitwie został ciężko ranny. Indiańscy lekarze uratowali mu wprawdzie życie, ale dobrego zdrowia nie odzyskał już nigdy. Pozostał jednak nadal wodzem, wszystkie swoje myśli poświęcając projektom utrzymania niezależności ducha, religii i kultury swego narodu. Do zrealizowania pomysłów nie starczyło mu już sił fizycznych...

Rezerwat Pomo przylegał do terenów, gdzie dzierżawcą był Michael Morgan. Oakes wszedł na ten teren w poszukiwaniu chłopca z Akwasasne, uwięzionego przez Morgana. Morgan zastrzelił go. Świadkowie stwierdzili, że Oakes był bezbronny. Morderca został oskarżony jedynie o nieumyślne spowodowanie morderstwa i zwolniony niezwłocznie za kaucją 5000 dolarów... Zginął człowiek, który był twórcą idei Alcatraz, idei AIM.

Złoty medal dla Bułgarii, Polska na drugim miejscu!

VI MIĘDZYNARODOWE ZAWODY DZIECIĘCE W SPORTACH TECHNICZNYCH

W dniach 2–14 sierpnia br. odbyły się w Chorzowie VI Międzynarodowe Zawody Dziecięce w Sportach Technicznych, których organizatorem z ramienia CIMEA była Główna Kwatera Związku Harcerstwa Polskiego. W zawodach uczestniczyły reprezentacje 7 państw: **Bułgarii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Mongolii, Polski, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego.** Rozegrano je w 6 konkurencjach: radiolokacja, modelarstwo lotnicze, modelarstwo rakietowe, modelarstwo modeli pływających, rowerowy tor przeszkód i fotografia. Do każdej z konkurencji każdy kraj miał prawo wystawić 2 zawodników. Było ich więc ponad 80 osób, w większości – chłopców. Górny wiek zawodników wynosił, zgodnie z regulaminem, 15 lat, ale wielu było i młodszych. **W klasyfikacji zespołowej VI Międzynarodowe Zawody Dziecięce w Sportach Technicznych wygrała Bułgaria przed Polską i Związkiem Radzieckim.**

O tym, jak przebiegały zawody i ich poszczególne konkurencje **piszą dziś członkowie Ligi Reporterów,** uczestnicy Europejskiego Spotkania Młodych Korespondentów, które również odbywało się w tych samych dniach w Chorzowie. **(ek)**

W reprezentacji Mongolii znalazła się jedna jedyna dziewczyna. W konkurencji radiolokacji nie pozostawała za chłopcami

Tylko hobby, ale za to jakie!

Jednym z zawodników jest **Wiesiek Kosiński.** Mieszka w Białymstoku, chodzi do VIII klasy. Oto, co mówi na temat swojego hobby:

„Startuję w krótkofalarstwie. Moje zainteresowanie krótkofalarstwem wzięło się stąd, że utworzono w szkole zastęp o tej specjalności. Potem stworzyliśmy własny klub, którego opiekunem został nauczyciel fizyki."

– Jak przygotowujesz się do zawodów?

– *Sprzęt mamy swój, często wykonany własnoręcznie przez nas samych. Wyjeżdżamy do lasu, gdzie nikt nam nie przeszkadza i trenujemy.*

– Czy każde zawody poprzedzane są testami?

– *Tak. Te testy są bardzo trudne i skomplikowane. Przed każdym testem czuję się zawsze nieswojo, mam dużą tremę. Nieraz nawet nie słyszę, co się do mnie mówi. Ale na ogół przechodzi mi i daję sobie z tem radę.*

– Co Ci daje krótkofalarstwo i jak je traktujesz?

– *Uważam je przede wszystkim za hobby. Codziennie nawiązuję kilka łączności na różnych kontynentach i daje mi to dużą satysfakcję.*

– Czy brałeś już udział w zawodach międzynarodowych?

– *W ubiegłym roku byłem na Węgrzech. No i teraz.*

– Czy dziewczęta też uczestniczą w tych zawodach?

– *Tak. Na razie tylko trzy, ale myślę, że na drugi rok będzie ich więcej. Trzeba tu zaznaczyć, że stanowią one dla nas, dla chłopaków, dużą konkurencję.*

– Która z sześciu konkurencji tych zawodów jest wg ciebie najtrudniejsza?

– *Trudno powiedzieć. Jeśli startujesz w krótkofalarstwie, to wydaje ci się, że właśnie to jest najtrudniejsze. Myślę, że każda konkurencja jest trudna.*

Rozmawiała:
ANNA KRAWCZYK

REPORTER Świata Młodych

TAJEMNICE MODELARSTWA RAKIETOWEGO

Grzegorz i Tomek, reprezentanci polskiej ekipy w modelarstwie, jeszcze przed rozpoczęciem zawodów wyjaśnili mi wiele spraw dotyczących tej konkurencji. I tak jak przedtem nie bardzo wiedziałem, na czym to wszystko polega, tak w tym momencie rzecz cała stała się jasna.

Modele rakiet dzielą się na spadochronowe i taśmowe. Sam model składa się z trzech stabilizatorów zbudowanych z balsy. Jest to lekkie drewno modelarskie. Poza tym ma głowicę, którą tworzy wydrążony klocek balsowy. Każda rakieta zaopatrzona jest w spadochron lub taśmę. Waga całego modelu nie powinna przekraczać 60 g. W trakcie zawodów ocenia się zarówno estetykę wykonania modelu, jak i czas jego lotu.

Zawodnicy wykonują po 5 lotów. Rakiety startują ze specjalnych wyrzutni. Zadaniem spadochronu lub taśmy, umieszczonych w górnej części kadłuba każdego modelu, jest jak najdłużej utrzymać rakietę w powietrzu. W dolnej części kadłuba zawodnik umieszcza silnik, otrzymywany od sędziów. Dzięki niemu rakieta może osiągnąć wysokość dochodzącą do 300–350 m. W momencie kiedy siła grawitacji bierze górę nad siłą ciągu silnika otwiera się spadochron. Chodzi o to, aby faza spadania była jak najdłuższa. Czas mierzy się od momentu podpalenia paliwa aż do chwili, kiedy model dotknie ziemi lub jakiegoś przedmiotu znajdującego się na niej. Minimum czasowe dające maksymalną ilość punktów wynosi 240 sekund dla modeli ze spadochronem i 120 sekund dla tych z taśmą. Nawet gdy ktoś je przekroczy, nie otrzymuje więcej punktów. Każda sekunda lotu, to 1 punkt.

I Grzegorz Bujarski, i Tomek Markiewicz od 3,5 roku należą do Klubu „Zefirek" w Muszynie. O klubie mówią, że panują tam nie najlepsze warunki, pomieszczenia są zbyt małe. Braki te jednak w pełni wyrównuje osoba trenera – mistrza świata w klasie rakiet spadochronowych, pana Jarończyka.

Budowa jednego modelu rakiety nie jest bardzo czasochłonna. Trzy modele można zbudować w ciągu dwóch dni. Wymaga to jednak wielkiej precyzji. Wystarczy mała niedokładność w przeklejeniu stabilizatora, by lot był nieudany. Najbardziej sprzyjające lotowi warunki panują w momencie, kiedy słońce wychodzi zza chmury. Powoduje to, iż ciepły prąd powietrza odbija się od powierzchni ziemi i unosi rakietę do góry. Natura jest jednak złośliwa. Często zdarza się, iż prąd ten tak się zaweźmie, że unosi rakietę coraz wyżej, wyżej i wyżej, aż znika ona gdzieś w obłokach... Bywa jednak i tak, że rakieta wzbija się 2–3 metry nad ziemię i nie chce lecieć wyżej. Często jest to wina buntującego się silnika. Na zawodach zawodnik ma wtedy prawo ponownego startu.

WOJCIECH STREMEL
Fot. **Z. Bisanz**

Każdy z zawodników startujących w konkurencji modelarstwa rakietowego przywiózł ze sobą ciężki bagaż

Mariusz, uczestnik obozu młodych korespondentów nie rozstaje się z aparatem

Czasami miewa się i pecha...

Jest godzina 9.40. Do stolika sędziowskiego podchodzi zawodnik drużyny mongolskiej, Meindżurin. Podaje sędziom swój model rakiety. Tak, wszystko w porządku. Teraz trzeba czekać na sygnał startowy. Meindżurin, to chłopak średniego wzrostu, dosyć krępy, szeroki w barach. Jak wszyscy Mongołowie ma twarz okrągłą i czarne włosy.

Usiadł na trawie. Wpatruje się w swój model i jakby coś do niego mówił. Jeszcze raz wyciągnął spadochron. Posypując go... zasypką ponownie zwinął i włożył do środka rakiety starannie zamykając ją kopułką.

Godz. 10,00. Sygnał startera oznajmił rozpoczęcie zawodów w modelarstwie rakietowym. Meindżurin siedział dalej i robił wrażenie, że go nic nie obchodzi, podczas gdy inni zawodnicy przygotowywali się nerwowo do startu. Wykazał ogromną cierpliwość i dojrzałość psychiczną. To mnie zaskoczyło ponieważ ma on lat czternaście. Dopiero gdy spiker poprosił go do startu, wstał. Zamontował starannie lont, rzucił ostatnie spojrzenie na swą rakietę i zapalił lont. Rakieta błyskawicznym lotem uniosła się w mgnieniu oka pod błękit nieba. Teraz można było zauważyć lekką radość, która z trudem przebiła się na kamienną twarz chłopca, lecz... coś stało się ze spadochronem i dlatego otworzył się dopiero gdzieś w granicach stu metrów nad ziemią.

Rakieta leciała pięknie, lekko, ale cóż z tego, kiedy wszystko popsuł spadochron. Meindżurin jednak nie stracił nadzici, więc gdy rakieta opuściła się na ziemię, rozpoczął przygotowanie do następnej kolejki. Ale przy następnych kolejkach nic było już wiatru i dlatego Meindżurin nie uzyskał najlepszych wyników. **Zawody wygrała zawodniczka z Bułgarii. Jednak sportowa postawa Meindżurina zasługuje na większą uwagę.**

MARIUSZ SZCZOTKA

Zwierzenia zawodniczki

Sama nie wiem, w jakim momencie to wszystko się zaczęło. Ale wydaje mi się, że już bardzo dawno – jeszcze wtedy, kiedy jako dzieciak uwielbiałam jeździć na rowerze. Gdy będąc w siódmej klasie dowiedziałam się, że w naszej szkole odbędzie się Olimpiada Wiedzy o Ruchu Drogowym, oczywiście wzięłam w niej udział. W siódmej klasie nie poszło mi najlepiej, za to w rok później nasza czteroosobowa drużyna szczecińska – Arleta, Jarek, Szymek i ja – zajęła pierwsze miejsce w Polsce. Mieliśmy uczestniczyć w międzynarodowych zawodach w Madrycie. Niedługo po powrocie do kraju dowiedzieliśmy się, że w Chorzowie organizowane są Międzynarodowe Zawody Dziecięce w Sportach Technicznych, których jedną z sześciu konkurencji będzie rowerowy tor przeszkód. Drogą eliminacji Szymek i ja znaleźliśmy się w Chorzowie. Jeśli już mówię o Szymku, muszę przyznać, że poprzez wspólne treningi i zainteresowania bardzo zżyliśmy się i zaprzyjaźniliśmy się.

W Chorzowie – zaskoczenie. W mojej konkurencji na 12 osób startować będą tylko dwie dziewczyny. Ja i sympatyczna Rumunka, Marcela. Najpierw była część teoretyczna, testy. I ja, i Szymek zdobyliśmy maksymalną ilość punktów, po 30, a także I miejsce zespołowo i dwa pierwsze indywidualnie. Następnie część sportowa, jazda praktyczna. Przyznam, że bardzo chciałam wygrać. Po losowaniu okazało się, że pojadę jako dziewiąta, Szymon wcześniej.

Zawody rozpoczęły się. Gdy jechał Szymon, denerwowałam się chyba bardziej niż on. Mocno zaciskałam kciuki. Nie jestem przesądna, ale uważam, że to pomaga. Szymkowi poszło świetnie. Dobry czas, 0 punktów karnych. Za kilkanaście minut miałam jechać ja. Pech chciał, że rozpadał się okropny deszcz. Jak jechać w takich warunkach?! Zawodów nie da się przerwać. Marcela pojechała, niestety, fatalnie. Dlaczego? Po prostu ten deszcz, który okropnie przeszkadzał, zwłaszcza w pokonywaniu przeszkód. A na dodatek fotoreporterzy, którzy ustawiali się dosłownie na niecały metr przed zawodnikiem. Bardzo współczułam Marceli, a jednocześnie zazdrościłam jej twardego charakteru. Nie załamała się, szybko opanowała płacz, nawet się uśmiechnęła. Taki powinien być sportowiec. Trzeba umieć przegrywać.

Jeszcze kilka chwil, zaraz startuję. Boję się coraz bardziej, że ich zawiodę. Wszyscy moi kibice żartują, a mnie nie jest łatwo się uśmiechać. Wsiadam na rower. Szymek pokazuje zaciśnięte mocno kciuki. Noga na pedał – pojechałam.

Jadę powoli. Przeszkadza śliska, asfaltowa nawierzchnia. Nagle – łuk przeszkód. Mam wrażenie, że spadam z deski. Nie, jednak nie spadłam! Widzę przed sobą linię mety. Otaczają mnie kibice. Słyszę głos prowadzącego: „Zawodniczka polska, Ewa Nowakowska, w czasie 7,23 otrzymała jedynie dwa punkty karne". Stoję tak na tym deszczu, nie słyszę co do mnie mówią i po prostu płaczę ze szczęścia. Zajęliśmy z Szymkiem I miejsce, drużynowo i indywidualnie.

Spisała: GRAŻYNA BARTOSZEK

PIĘĆ MINUT Z ANKĄ

Dziwne, ale wcale nie jest mi smutno. Jak się wakacje zaczynały, to umierałam z radości, że szkołę mam na razie z głowy i nigdy, ale to naprawdę nigdy, nie przyszłoby mi wtedy do głowy, że... mogłabym się cieszyć z powrotu do niej. A ja się teraz autentycznie cieszę! Hm, dziwna jest natura ludzka! Mam prawo do tego uogólnienia, bo rzecz dotyczy wcale nie tylko mnie. Ulka też się cieszy, że znowu zaczyna się szkoła, i Marzena też, i Krzysztof. Myślę, że my po prostu kochamy urozmaicenie. Tak jak wiosną byliśmy znudzeni setnie szkołą, tak teraz – mamy dosyć wakacji. Jeśli o mnie chodzi, to wcale zresztą powodem nie jest nuda w normalnym tego słowa rozumieniu. W gruncie rzeczy przecież wakacje przeleciały mi jak z bicza trzasnął, a nie nudziłam się ani sekundy. Ba, były momenty kiedy żałowałam, że doba nie ma co najmniej 36 godzin.

Tak naprawdę, to dopiero od kilku dni, po powrocie do domu ze wsi, mam prawdziwy luz. Gdybym chciała, to mogłabym do południa spać. Ale... wcale nie chcę. Słowo honoru, ja się nauczyłam w czasie tych wakacji wcześnie wstawać! Samej jest mi w to trudno uwierzyć, ale to fakt najautentyczniejszy. Tak się bowiem składało, że przez całe wakacje musiałam wcześnie wstawać. Żeby było śmiesznie, to mnie, śpiochowi nad śpiochami, sprawiało to przyjemność. Więc i teraz wstaję. Mama się dziwi, tata się dziwi, ja – też się dziwię, ale fajnie jest. Będzie. Co ja się w ubiegłym roku namęczyłam, nawalczyłam ze sobą, żeby się rano do szkoły nie spóźniać. A teraz – problem obcy się stał. Więc to jest jedna korzyść, namacalna, z tych wakacji.

Jak tak rozmyślam o korzyściach, to nie jest to bynajmniej jedyna. Masę rzeczy się nauczyłam, tłum różnych spraw zrozumiałam. Nauczyłam się np. nie zawierzać we wszystkim własnemu, indywidualnemu doświadczeniu (które w końcu nie takie znowu wielkie jest przecież), ale słuchać rad ludzi mądrzejszych ode mnie, bardziej doświadczonych. A z drugiej strony nauczyłam się być odpowiedzialna. Za siebie i za innych też. Pozornie wygląda to, co napisałam, na dwa sprzeczne ze sobą stwierdzenia, ale tylko pozornie. Naprawdę!

Jaka ja byłam przed wakacjami dziecinna! Wydawało mi się, że wszystko wiem, że wszystkie rozumy pozjadałam, że każdy, kto myśli w danej sprawie inaczej niż ja, to albo dureń, albo mój wróg nawet. I przede wszystkim myślałam tylko o sobie – żeby mnie było fajnie, wygodnie, dobrze, wesoło.

Nie wiem, czy mam to prawo tak nazwać, ale wydaje mi się, że stałam się w czasie tych wakacji bardziej dorosła. Nie w centymetrach – nie urosłam niestety ani o milimetr – ale tak w ogóle...

ANKA

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

KRYSTYNA PROŃKO: DO SOPOTU NIE POJECHAŁAM...

– Często sięgam po twoją płytę długogrającą. Uważam, że jest świetna...

– Dziękuję. Wprawdzie śpiewam teraz trochę inną muzykę, ale wstydzić się tej płyty nie muszę. Zależało mi na tym, żeby pokazać aktualne możliwości, aktualny repertuar, z którego starałam się wybrać utwory jednorodne stylistycznie...

– I sztuka się udała. Zostańmy jeszcze przy temacie: płyty, kasety, nagrania...

– Złożyłam materiały na nową kasetę, która powinna się ukazać w grudniu lub na początku stycznia. Ostatnio nagrywałam w Poznaniu, gdzie można spokojnie, bez pośpiechu dopracować utwór, gdzie jest stała, dobra orkiestra i sprawni realizatorzy. Wydaje się jednak, że nagrania poznańskie za bardzo są do siebie podobne. Myślę już o swojej następnej płycie długogrającej, której kierownikiem muzycznym będzie Wojciech Trzciński...

– Koncertujesz raczej rzadko...

– To prawda, a bardzo potrzebuję kontaktu z publicznością. Kończyłam w tym roku katowicką Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną, pisałam pracę magisterską, sporo nagrywałam, więc występów było rzeczywiście niewiele. Współpracowałam ze znakomitymi muzykami: Wojciechem Waglewskim, Pawłem Serafińskim, Pawłem Dąbrowskim, Markiem Stachem i Władysławem Sendeckim, których nazwałam „All Stars" i z którymi dałam kilka koncertów w lipcu i sierpniu. Nie jest to jednak zespół przypisany do mnie na stałe, a chciałabym taki mieć, dlatego liczę na braci: Piotra – saksofonistę i Wojtka – basistę. Po powrocie z zagranicy obiecali zorganizować kwintet. Na koncertach przypominam swoje przeboje, jedne w całości, inne we fragmentach, i prezentuję utwory najnowsze. Często partneruje mi Leonard zwany „Dżaretem"...

– Od kilku miesięcy jesteś magistrem sztuki...

– Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Katowicach ukończyłam z wyróżnieniem – chcę się tym pochwalić! Pisałam pracę magisterską pt. „Wokalistyka Urszuli Dudziak". Słuchając nagrań Urszuli doszłam do wniosku, że o jej wokalistyce można napisać nie tylko pracę magisterską, ale nawet doktorską. Studentom ostatniego roku podpowiadam przy okazji inny temat: wykorzystanie sprzętu elektroakustycznego w nagraniach wokalistów. W szkole nauczyłam się warsztatu wokalnego. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, że wokalistyka nie ma dla mnie tajemnic, bo ma ich więcej niż przed studiami, ale wiem, jak do nich podejść...

– Zapowiadałaś się jako wokalistka jazzowa, zdradziłaś jednak jazz dla piosenki...

– Dobrze jest nieraz robić niespodzianki. Muzyka jazzowa, którą nadal uwielbiam, trafia do wąskiego grona odbiorców, a ja chciałam dać się poznać szerszej publiczności. Dlatego zaśpiewałam „Kołysankę" i „Jutro zaczyna się tu sezon". Myślę, że teraz zostanę także zaakceptowana w trudniejszym repertuarze, że nawet mój jazz zacznie się podobać...

– Nie poznawano cię w „Kołysance"...

– Kiedy dostałam taśmę z nagranym wcześniej podkładem instrumentalnym, zorientowałam się, że nie odpowiada mi jego tonacja. O transponowaniu o tercję czy sekundę w dół nie było mowy. Ponieważ nie mogłabym zaśpiewać tej piosenki pełnym głosem, przystałam na propozycję tricku technicznego. Głos nałożony podwójnie w oktawie zabrzmiał interesująco...

– Przebojem stała się piosenka skomponowana przez Władysława Sendeckiego...

– „Adzik", kolega ze szkoły muzycznej, przedstawił mi dwa pomysły, z których wybrałam właśnie ten. Nagraliśmy tę piosenkę z big bandem, ale aranżacja płytowa będzie inna: moogi, string, clavinet i inne instrumenty elektroniczne...

– Jakiej muzyki słuchasz najchętniej?

– Przede wszystkim Herbie Hancocka, Quincy Jonesa, Jana Garbarka i Keith Jarretta. Cudowna muzyka! Dla relaksu, można nawet nie tylko dla relaksu, ile dla oderwania się od tego, co robię na co dzień, słucham muzyki poważnej...

– W Opolu śpiewałaś najwięcej piosenek...

– Festiwal opolski miał być próbą generalną przed Festiwalem Interwizji w Sopocie, gdzie ostatecznie... nie pojechałam.

Fot. **K. Adamowski**

„CARMEN" dla młodzieży szkolnej

Z ciekawą inicjatywą wystąpiła niedawno angielska Opera Narodowa. Zespół postanowił wystawić operę Bizeta „Carmen" dla młodzieży szkolnej w sposób odbiegający od tradycyjnych wzorów. Operę potraktowano jako kappening, wciągając do udziału młodzież. Jest to jeden z wielu eksperymentów wprowadzanych w życie przez powołaną w ubiegłym roku pierwszą stałą narodową scenę w Wielkiej Brytanii. Przedstawienie odbyło się w szkole średniej w Shipley koło Bradfordu z udziałem około 200 dziewcząt i chłopców w wieku od 9 do 14 lat. Zlikwidowano podział na widownię i publiczność. Chłopcy i dziewczęta byli jednocześnie uczestnikami widowiska i statystami. Początkowe onieśmielenie zostało szybko przezwyciężone. Dzieci ochoczo podejmowały łatwo wpadające w ucho melodie i po kilku próbach z powodzeniem wcielały się kolejno w role żołnierzy, matadorów, sprzedawców ulicznych i Cyganów. Po udanym widowisku odbyła się dyskusja z udziałem aktorów i młodzieży, która dzieliła się swymi wrażeniami. Opinia była zgodna: „Myśleliśmy – twierdziły dziewczęta i chłopcy – że opera to coś bardzo nudnego i przestarzałego, a teraz widzimy, że nie mieliśmy racji. To nie tylko wspaniała zabawa, ale i bardzo piękna muzyka". Opera Narodowa ma zamiar kontynuować tę działalność na szerszą skalę, traktując wychowanie muzyczne dzieci i młodzieży jako jedno ze swych głównych celów.

NOWOŚCI TONPRESSU

Niebawem można będzie kupić trzy nowe kasety firmy Tonpress. Kaseta CK-11 pt. „Zostań z nami, melodio" zawiera popularne nagrania krajowe muzyki rozrywkowej, między innymi: „Jak minął dzień", „Wschód słońca w stadninie koni", „Mój słodki Charlie". Pozycja CK-12 pt. „Heart of Glass" jest typową składanką nagrań najpopularniejszych wykonawców dobrze znanej melomanom brytyjskiej firmy Chrysalis – „Darlin" (Frankie Miller), „Moths" (Jethro Tull), „Going Home" (Ten Years After). Na kasecie CK-13 pt. „Hity Tonpresu '79" znajdziecie przeboje Krzysztofa Krawczyka, Happy Endu, Homo Homini, Anny Jantar i Stanisława Sojki, Waweli.

Natomiast już można kupić bardzo ładnie wydaną, udaną płytę z dwiema piosenkami dedykowanymi dzieciom. Krzysztof Krawczyk śpiewa „Dla Krzysia" i „Dla Karoliny". Ciekawostka: możecie usłyszeć małego Krzysia i zobaczyć go na okładce płyty (drugie dziecko od prawej strony).

W odpowiedzi na liczne pytania zawarte w listach informuję: sprzedaż wysyłkową płyt krajowych i zagranicznych prowadzi Księgarnia Wysyłkowa Wydawnictw Fonograficznych – adres: ul. Żeromskiego 16, 50-321 Wrocław, natomiast plakaty wysyła Księgarnia Wydawnictw Artystyczno-Graficznych – adres: ul. Szewska 29, 50-139 Wrocław. Oczywiście pod tymi adresami można otrzymać płyty i plakaty TONPRESSU.

Art Rock '79

9 stycznia odbył się w ONZ półtoragodzinny koncert inaugurujący Międzynarodowy Rok Dziecka. Biorący w nim udział artyści – o nich za chwilę – przeznaczyli dochód na fundusz UNICEF. Pomysłodawcami i organizatorami koncertu byli David Frost i Robert Stigwood, menager Bee Gees, producent głośnych filmów „Saturday Night Fever" i „Gress". Na widowni zajęli miejsca sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim i dyrektor UNICEF Henri Labouisse, a na estradzie dawali z siebie wszystko: Bee Gees, ABBA, Donna Summer, Kris Kristofferson, Rita Coolidge, Rod Steward, John Denver, Earth, Wind and Fire, Olivia Newton-John. Koncert zakończył się wspólnym wykonaniem utworu „Put A Little Love In Your Heart". Podobno bilety sprzedawano na czarnym rynku po 300 dolarów.

Przypominamy, że u nas podobny koncert na rzecz dzieci odbędzie się 9 września. Sala Kongresowa polski SONG FOR GIFT – ART ROCK'79. Wystąpią: Krzysztof Cugowski, Halina Frąckowiak, Anna Jantar, Krystyna Prońko, Andrzej Mitan, Dżamble, Exodus, Fanat, Orkiestra Do Użytku Wewnętrznego, Perfect, Zjednoczone Siły Natury oraz prezenter Adam Halber. Dochód oraz tantiemy autorskie zasilą konto Centrum Rehabilitacyjnego w Konstancinie. Wykonawcy przypomną swoje największe przeboje, przedstawią najnowsze, a na zakończenie wykonają wspólnie utwór dedykowany dzieciom. To na estradzie... W foyer obejrzycie fotografie Tadeusza Sobieraja, kupicie kolorowe koszulki, pamiątkowe znaczki i plakietki.

Zapamiętajcie: **9 września, Sala Kongresowa, Warszawa – ART ROCK'79.**

Technologia, która ma ogromną przyszłość

CZŁOWIEK TOPI KAMIEŃ

Aby otrzymać tonę surówki, trzeba przerobić około 16 ton rudy żelaza; do otrzymania tony miedzi – około 50 ton rudy miedzi. Po to, aby otrzymać tonę lanego kamienia, wystarczy... tona kamienia naturalnego. Surowcem są bazalty, diabazy, fonolity i dolomity – ich zasoby są nieprzebrane.

Odlewanie kamienia na skalę przemysłową zapoczątkowano w 1921 roku we Francji. W rok później niemiecka spółka akcyjna „Bazalt" uruchomiła fabrykę. Kamień jest odlewany od 1931 roku również w ZSRR.

Technologia produkcji odlewów kamiennych podobna jest do technologii odlewów metalowych. Przy temperaturze 1450 do 1500 st. C surowiec przekształca się w stop przypominający lawę wulkaniczną. Z kamienia w postaci roztopionej masy można produkować przedmioty o pożądanych przez nas kształtach; nawet elementy zdobnicze, jak rzeźby, wazony, figurki itd.

Na skalę przemysłową odlewane są skomplikowane elementy o masie nawet jednej tony i o wymiarach dochodzących do dwóch metrów. I nie jest to zapewne granica ostateczna.

Kamienne odlewy mają charakterystyczną ciemnoszarą barwę i dźwięczą jak metal. Nie poddaje ich się żadnej dodatkowej obróbce. Nie zmieniają się w miarę upływu czasu ich właściwości fizykochemiczne. Mogą być ponadto zbrojone, co kilkakrotnie zwiększa ich wytrzymałość mechaniczną.

Technologia ta cieszy się obecnie szczególnym zainteresowaniem w Bułgarii, gdzie znajduje się przedsiębiorstwo produkujące odlewy bazaltowe: płyty chodnikowe, rury i wykładziny. Projektuje się tam też nową fabrykę o wydajności 10 000 ton odlewów kamiennych rocznie.

Specjaliści sądzą, że w przyszłości płyty jezdni, chodniki, rury kanałów ściekowych, a nawet elementy mostów będą produkowane z tego surowca. **(km)**

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś, zgodnie z tradycją i wcześniejszymi zapowiedziami, odkrywam niektóre tajemnice Abrakadabry.

Oto ja – Ben Akiba, jej gospodarz – jestem tak starym magiem matematykiem, że sam nawet nie wiem, ile mam lat. Nikt nie zna mego prawdziwego oblicza, bo kryje je gęsta siwa broda. Co to znaczy Abrakadabra – wyjaśniam niżej. Do zobaczenia za tydzień!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

JAK POWSTAWAŁ RYSUNEK?

W czterech fazach powstawania tego rysunku fotograf dokonał czterech jego zdjęć. Są one przedstawione w przypadkowej kolejności. Ty musisz ustawić je tak, by ilustrowały właściwe – kolejne i logicznie uzasadnione – etapy powstawania rysunku. Zapamiętaj – rozwiązanie tkwi w dostrzeżeniu szczegółów. Masz na to 10 minut!

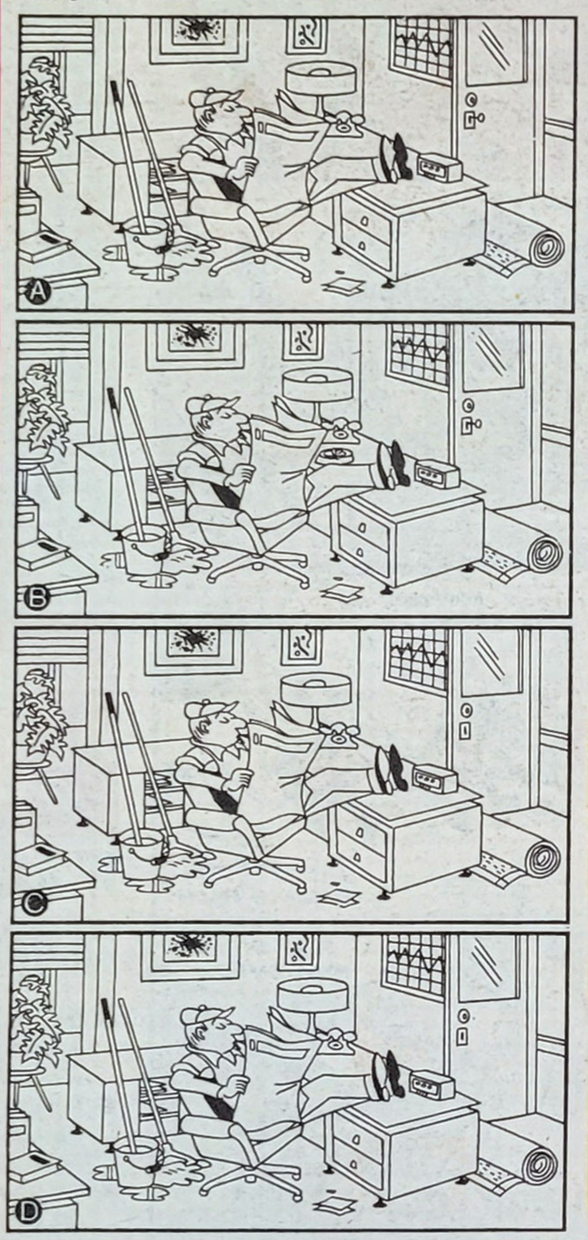

GŁÓWNA TAJEMNICA

Główną tajemnicą naszego kącika gier i zadań logiczno-matematycznych jest jego nazwa. Cóż bowiem znaczy Abrakadabra? Zajrzyjmy do mądrego starego dzieła. **„Encyklopedyja Powszechna" S. Orgelbranda,** księgarza i typografa z roku 1859 (ponad 100 lat temu!) tak wyjaśnia: **„Abracadabra, słowo czarodziejskie, któremu przypisywano dawniej własności leczenia najuporczywszej nawet febry, używane było zwykle w guście amuletów..., gdyż napisane na kartce w kształcie trójkąta przez dni dziewięć noszone było na dołku piersiowym, poczem wrzucano je do rzeki lub stawu. Niektórzy mniemają, że wyraz Abracadabra jest przezwiskiem bożka Assyryjskiego, inni zaś, że pochodzi od słowa Abraxas".** Zobaczyliśmy, co pisze „Encyklopedyja" pod tym słowem: **„Abraxas, czyli Abrasax, wyraz niewiadomego znaczenia, znajdujący się greckimi literami na licznych gemmach (półszlachetnych kamieniach używanych jako ozdoba lub pieczęć – przyp. B.A.), na których oprócz tego wyrżnięte są różne potworne postacie i godła symboliczne".** A więc – magia! O właściwościach niemal magicznych, a na pewno matematycznych nazwy naszego kącika – mówi kolejna tajemnica, którą zdradzę wkrótce.

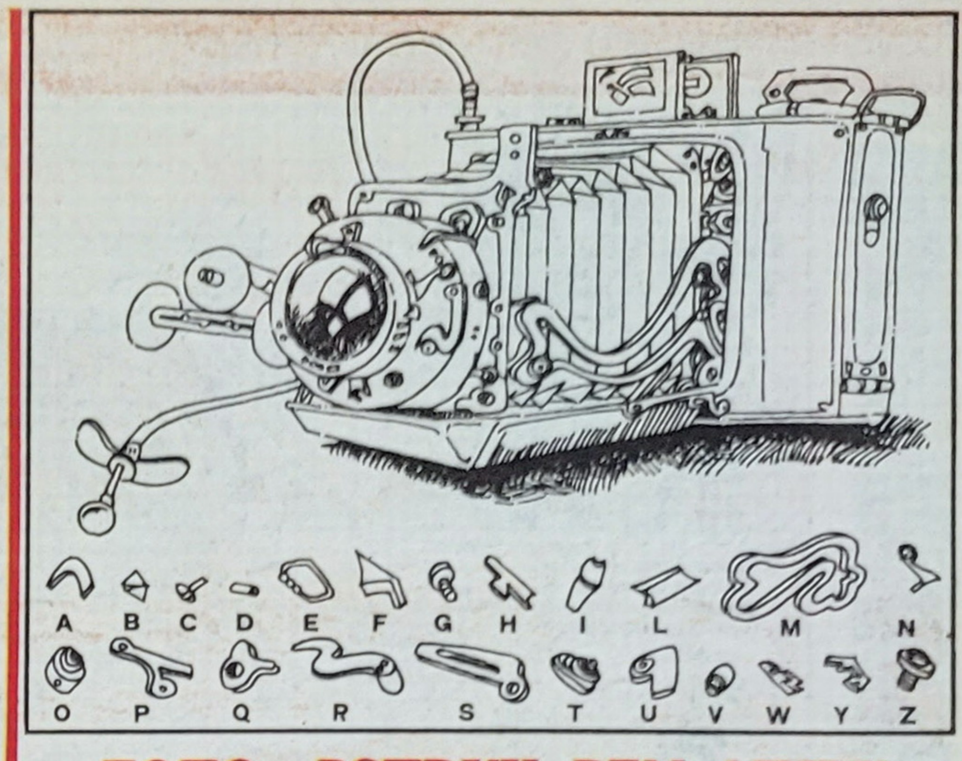

FOTO – PSTRYK BEN AKIBY

Oto ulubiony staroświecki aparat fotograficzny Ben Akiby, zwany foto-pstrykiem. Już sam jego rysunek jest dziwny. Bowiem tylko jedna z 23 części widocznych u dołu jest dokładnie taka sama (i cała widoczna!), jak na rysunku głównym. Jaką literą jest oznaczona ta część?

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 245 z 92 numeru „Świata Młodych" z dnia 4.08.1979 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Czorsztyn, Zamość, Mazury, Rudawy, Turawa, Rudnik, Beskid, Łebsko, Łowicz, Raciąż, Czarne, Kielce, Omulew.

Nagrody wylosowali:
Danuta Balcerzak – Sieradz, Wacław Frydrych – Krościenko Wyżne, Zofia Gajewska – Bytom, Paweł Gidziński – Warszawa, Henryk Hermanowski – Kidałowice, Piotr Kamiński – Kościerzyna, Małgorzata Knop – Kraków, Halina Lewandowska – Sztum, Zofia Serwacka – Zakrzówek, Alicja Wojciechowska – Zamość.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

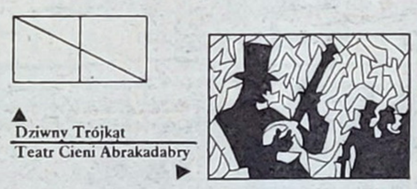

▲ Dziwny Trójkąt
Teatr Cieni Abrakadabry ▶

MÓWI STARY KRUK: Kruk mówi „Złożony wachlarz twej koleżanki jest przy..." Szyfr polega na odczytaniu wyrazów od tyłu i również wspak – całego zdania. Wachlarz – złożony – znajduje się przy lewym reflektorze auta, w kwadracie B-5. DZIWNY TRÓJKĄT: powstał z prostokątnej deski, która była rozcięta tak, jak wskazuje rysunek. TEATR CIENI ABRAKADABRY: patrz rysunek.

Zadanie premiowane nr 249

NAKŁADANKA

Odgadnij 9 par wyrazów 7-literowych i wpisz je do lewego i prawego diagramu. Jednakowe litery, przypadające na te same pola w lewym i prawym diagramie, czytane rzędami poziomymi (w jednym lub drugim diagramie), utworzą rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 249".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród. ZNACZENIE WYRAZÓW (w nawiasach podano ich pierwsze litery): 1) od poniedziału do niedzieli (T) – zachęta, podnieta (B), 2) przeciwieństwo hałaśliwości; milczenie (C) – w przenośni: zamiłowanie do czegoś, upodobanie (C), 3) powiew (P) – archipelag ok. 300 wysepek na Atlantyku, w odległości 1000 km od wybrzeży USA (B), 4) odważny człowiek (Ś) – wrzucasz je do kosza (Ś), 5) żołnierz piechoty (P) – stare podanie, baśń (K), 6) gryzoń żyjący w wysokich górach; zimę przesypia (Ś) – zakaźna choroba skóry (Ś), 7) pilnuje pasące się bydło (P) – miasto w woj. gdańskim, siedziba Muzeum Kaszubskiego (K), 8) niewysokie wybicie się w górę (P) – korzyść (P), 9) klimat, atmosfera (N) – miejsce przeznaczone do pojenia zwierząt (W).

1							
2							
3							
4							
5							
6							
7							
8							
9							

i mojego starego. Pani Weatherbee chichotała, jakby miała źle w głowie, zupełnie jak te głupie dziewczyny z mojej klasy, kiedy opowiadają sobie sekrety. Z początku widziałem tylko jej gołe stopy i nogi, przerzucone przez bok werandy. Zaraz potem zauważyłem, że stary stoi na ziemi i łechce ją niedużym piórkiem. Leżała na plecach na werandzie, a stary łechtał jej pięty piórkiem z kurzego ogona. Pani Weatherbee leżała i pękała ze śmiechu, a stary łachotał ją w te bose stopy jak szalony. Od czasu do czasu wydawała wyższy ton i wtedy stary podskakiwał. Musiała niedawno zdjąć pończochy i pantofle, bo leżały niedbale rzucone na werandzie.

Pani Weatherbee nie była wcale stara jak inne mężatki. Wyszła za mąż jeszcze jako uczennica i zaledwie od trzech czy czterech miesięcy była słomianą wdówką. Leżała tak na werandzie, wiercąc się na plecach, wierzgając nogami i wrzeszcząc, i śmiejąc się, jakby miała zaraz umrzeć, gdyby stary nie przestał jej łachotać tym kurzym piórkiem. Od czasu do czasu wydawała z siebie szalony chichot, a to było jeszcze śmieszniejsze, bo wtedy stary podskakiwał w górę jak kangur.

Zupełnie zapomniałem o mamie, bo byłem całkowicie zajęty przyglądaniem się staremu i pani Weatherbee, ale nagle spojrzałem na podwórko i zobaczyłem, że nadchodzi. Kierowała się prosto na werandę.

Teraz wszystko poszło w takim tempie, że trudno się było zorientować, co się właściwie dzieje. Najpierw mama chwyciła starego za włosy i rzuciła nim do tyłu tak, że stracił grunt pod nogami. Następnie chwyciła jedną z gołych stóp pani Weatherbee i ugryzła ją z całych sił. Pani Weatherbee krzyknęła tak głośno, że pewnie usłyszeli ją aż w Sycamore.

Siadła, a mama wzięła się do niej na serio. Chwyciła za dekolt jej kretonowej sukienki i zdarła ją z niej jak kawał tapety. Gdy pani Weatherbee zobaczyła, co się dzieje z jej suknią, wrzasnęła jak oparzona.

Stary tymczasem siedział na trawniku, nieruchomy z przerażenia, i teraz mama zabrała się z kolei do niego.

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Morrisie Stroup? – ryknęła.

– Ależ, Marto, ja tu przyjechałem, żeby pomóc tej biednej wdowie. – Popatrzył na mamę tak, jak to robi wtedy, gdy się jej boi. – Miała kłopoty z sasafrenem, więc zaprzągłem Idę i przyjechałem, żeby jej trochę poorać ogródek.

Mama odwróciła się, chcąc znowu przyłożyć wdowie. Teraz nie pozostało jej już nic innego jak targać ją za włosy.

– Przypuszczam, Morrisie Stroup – rzuciła przez ramię – że łechtanie słomianej wdowy w pięty bardzo pomaga tępić sasafran.

– Ależ, Marto – stary cofał się na piętach i siedzeniu – ależ, Marto, nie o to chodzi. Chciałem tej biednej kobiecie pomóc. Ma tyle chwastów w ogrodzie.

– Cicho bądź! – krzyknęła mama. – Jeszcze trochę i zwalisz wszystko na Idę.

– Marto – stary wciąż cofał się, nie unosząc siedzenia z trawnika. – Nie masz racji. Spójrz na nią. Jest ubogą wdową.

– Patrzę na nią – wrzasnęła mama. – Muszę chodzić po polu i zrywać liście mleczu, bo nie ma w domu co jeść, a ty pętasz się po słomianych wdówkach z mułem i pługiem i pomagasz im uprawiać ogródki. Już nie mówię, o tym, że przy okazji zajmujesz się łechtaniem ich w pięty kurzymi piórkami. A to dobre!

Stary otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale mama chwyciła go za szelki, zanim zdołał wykrztusić jeszcze jedno słowo. Pomaszerowała z nim w ten sposób szybko do płotu, gdzie uwiązana była Ida. Chwyciła jedną ręką za uzdę, a drugą trzymała starego za szelki i tak ruszyła na przełaj przez pola bawełny ku domowi. Ida rozumiała, że coś się dzieje, gdyż szła równym kłusem bez niczyjej pomocy.

Pobiegłem przez rzeczkę i skrótem do domu, gdzie znalazłem się na minutę przed nimi.

Kiedy mama zjawiła się na podwórku, prowadząc Idę i starego, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Ida wyglądała równie zaambarasowana jak stary.

Mama spojrzała na mnie z ukosa.

– Przestań chichotać, Will – mruknęła. – Czasami wydaje mi się, że z ciebie taki sam nicpoń jak z twojego ojca.

Stary spojrzał na mnie spode łba i mrugnął prawym okiem. Poszedł za mamą do stajni, posłuszny jak mały szczeniak. Zanim zniknął za drzwiami, nachylił się i podniósł z ziemi kurze pióro. Gdy mama wprowadzała Idę, starannie schował piórko do kieszeni.

V. DZIEŃ U CIOCI BESSIE

Mama wstała wcześnie, przyrządziła śniadanie i wstawiła je do piecyka, żeby nie wystygło. Ja już nie spałem, ale mój stary wciąż jeszcze chrapał pod kołdrą, kiedy odjeżdżała bryczką wuja Bena na wieś do cioci Bessie. Mama miała tam spędzić cały dzień. Gdy tylko odjechali, stary wysunął głowę spod pierzyny i zapytał, czy mama coś mówiła, zanim odjechała z wujem Benem. Powiedziałem mu, że nie rzekła słowa, gdyż była przekonana, że obydwaj jeszcze śpimy. Cdn.

(c) 1943 by Erskine Caldwell

na wakacjach !!

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PANIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Kula

Nr zam. 5290/G C-98

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze znajdziecie:

- Opowieść o udziale katowickich harcerzy w obronie swego miasta w pierwszych dniach września 1939 r.
- Relację z Europejskiego Spotkania Młodych Korespondentów, jakie odbyło się niedawno w Chorzowie
- W „Gwiazdozbiorze" – Marcin Wolski – satyryk, autor wielu słuchowisk, wierszy i piosenek

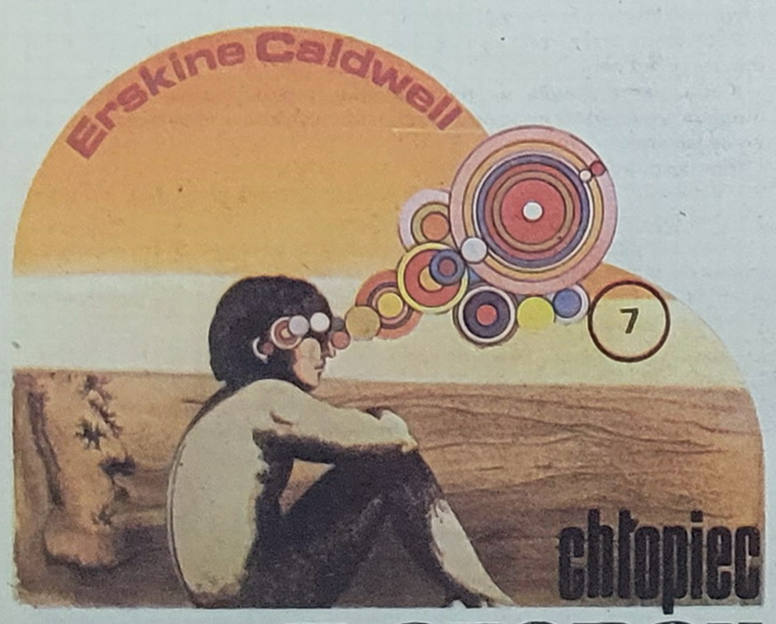

Przełożyła MIRA MICHAŁOWSKA

Z GEORGII

Poszedłem w głąb werandy do drzwi kuchennych, skąd też słyszałem wszystko, co mówiły.

– A więc, Marto – powiedziała pani Singer – nie lubię plotek i nie myśl, że zamierzam rozrabiać. Ale pomyślałam sobie, że powinnać znać całą prawdę.

– O co chodzi?

– Pan Stroup jest w tej chwili u pani Weatherbee i, co gorsza, siedzi tam od samego rana. Tylko on i ona, we dwoje.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się mama.

– Przechodziłam tamtędy i widziałam ich na własne oczy. Uważałam za swój obowiązek zawiadomić cię o tym niezwłocznie.

Pani Weatherbee była młodą słomianą wdówką, która mieszkała sama na skraju miasteczka. Miała męża, który w dwa miesiące po ślubie wyszedł z domu i jeszcze nie wrócił.

– Co też Morris Stroup może robić u tej pani – zdziwiła się mama, podnosząc przy tym głos, jakby uważała, że wszystkiemu winna jest pani Singer.

– Nie mam pojęcia – pani Singer cofnęła się o kilka kroków – ale uważałam, że zawiadomienie cię o tym fakcie jest moim chrześcijańskim obowiązkiem.

Opuściła pospiesznie podwórko i zniknęła za węgłem. Mama znowu nachyliła się nad balią i zaczęła tak chlapać, że część wody się wylała. Potem wyprostowała się i ruszyła przez podwórko do domu, wycierając ręce fartuchem.

– Will! – zawołała – Will, właź do domu i nie wychodź, aż wrócę. Czy słyszysz mnie, Will. Odezwij się!

– Słyszę, mamo – zapewniłem ją usuwając się z pola widzenia.

Pospiesznie podążyła ulicą w kierunku domku pani Weatherbee, która mieszkała jakieś pół kilometra od nas.

Zostałem na kuchennej werandzie, dopóki mama nie zniknęła mi z oczu, po czym pobiegłem przed dom i przeciąłem pusty plac, należący do Joe'ego Hammonda. Znałem skrót, prowadzący prosto pod domek pani Weatherbee. Kiedy szedłem polować na zające z Przystojniakiem Brownem, przechodziłem tamtędy bardzo często. Przystojniak twierdził, że człowiek powinien znać wszystkie skróty, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą przydać. Teraz na przykład byłem zadowolony, że znam skrót do domu pani Weatherbee, bo inaczej mama zauważyłaby mnie i byłaby awantura o to, że poleciałem za nią.

Biegłem całą drogę, trzymając się blisko wierzb przy rzece, tak jak robiliśmy z Przystojniakiem podczas polowania na zające. Rozejrzałem się za tatą, ale nie było go widać w okolicach domku pani Weatherbee. Ani jego, ani jej.

Potem poszedłem przez kładkę i trzymając się blisko żywopłotów posuwałej się naprzód.

Doszedłem w ten sposób do ogrodu i gdy wyjrzałem za róg uliczki, zobaczyłem Idę stojącą przy furtce. Nic nie robiła, tylko stała i oganiała się ogonem od much. Na pewno mnie poznała, bo podniosła uszy równo do góry i popatrzała na mnie.

Zacząłem czołgać się na czworakach wzdłuż płotu i kiedy spojrzałem na podwórko pani Weatherbee, zobaczyłem mamę. Przeskakiwała przez grządki bawełny i celowała prosto na podwórko.

W tej samej chwili usłyszałem chichot pani Weatherbee. Spojrzałem w stronę jej domu i nie musiałem nawet wstawać z kolan, żeby zobaczyć ją

Dokończenie na str. 7